**Nr. 26.** Lwów dnia 27. Lipca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

# ŚWIT

## TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „Świcie“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.



## Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Sierpnia b. r. rozpoczyna się **nowy kwartał** naszego pisma, trwający do ostatniego Października. Upraszamy o **rychłe** ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

*Świt* wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie $1\frac{1}{2}$ arkusza druku.

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| Cena kwartalna wynosi | w Galicyi 2 złr. w. a.; | w Niemczech 1 tal. | 8 śgr.; | we Francyi 6 fr. |
| „ półroczna | „ 4 „ „ | „ 2 „ | 15 „ | „ 11 „ |
| „ roczna | „ 8 „ „ | „ 5 „ | — „ | „ 21 „ |

Prenumeratę należy przesyłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcyi *Świtu:* Ulica Wałowa Nr. 19.

W przyszłym kwartale drukować będziemy obok rozpoczętej powieści *Michała Bałuckiego:* **„Między niebem a ziemią“** dalszy ciąg **„Kalejdoskopu“** *Berlicza Sasa*, którego druk przerwany został z powodu choroby autora; następnie bardzo ciekawy

**„Pamiętnik damy polskiej XVIII wieku“**

(Urszuli z Ustrzyckich Tarnowskiej),

*obejmujący dzieje rozbiorowe i porozbiorowe kraju naszego, a spisany przez naocznego świadka, z mnóstwem zupełnie nowych szczegółów o tej ciekawej epoce;*

w dziale poezyi dramat *Michała Beera:* **„Struensee“** w przekładzie wierszem *Władysława Bełzy;* poemat oryginalny *Władysława Ordona:* **„Garbus z Bononii,“** jakoteż przekład **„Nocy“** *Alfreda Musseta*, dokonany przez *tegoż;* przytem szereg poezyi mniejszych rozmiarów: *Władysława Bełzy, Ernesta Buławy, Teofila Lenartowicza, Adama Pajgerta, Stanisława Grudzińskiego* i innych;

rozprawy naukowo-literackie: dr. *Adama Bełcikowskiego:* **„O poezyi polskiej XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu,“** *Mieczysława Paszkowskiego:* **„O złych i dobrych stronach pozytywizmu,“** *Henryka Schmitta:* **„Duch i przyroda w dziejach,“** *Alfreda Szczepańskiego:* **„Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań“** i inne;

**„Listy o kwestyach społecznych“** dr. *Gustawa Roszkowskiego*, jakoteż **„Pogadanki o sprawach bieżących,“** przez jednego z najcelniejszych naszych publicystów.

☞ Prenumeratorowie **nowi** otrzymają bezpłatnie początek drukującej się obecnie powieści: **„Między niebem a ziemią.“**

Lwów dnia 19. Lipca 1872.

**Od redakcyi.**

NA OKAZ.

# OŚWIATA LUDU.

Księztwo warszawskie zostawało pod względem oświaty w pewnej mierze w położeniu podobnem do Galicyi. Miało autonomię edukacyjną — lecz nie miało funduszów.

Chcąc dźwignąć stan szkół ludowych a nie mogąc wystarczyć skąpymi funduszami państwowymi Izba edukacyjna, ówczesna najwyższa magistratura dla całego wychowania publicznego, nie wahała się odezwać do ofiarności publicznej, która miała choć w części zastąpić obowiązek publiczny, na którego spełnienie, gdy idzie o rzecz oświaty, żaden kraj i żadne społeczeństwo czekać nie może. Za sprawą więc Izby edukacyjnej organizowano Towarzystwa oświaty po departamentach księztwa, które zbierały składki. Ze składek tych, dobrowolnych, jednorazowych, lub peryodycznych, zakładano szkoły po wsiach i miasteczkach, a przy istniejących szkołach ludowych i średnich ze składek tych utrzymywani byli niektórzy nauczyciele, których z braku funduszów Izba edukacyjna na swoim etacie utrzymywać nie mogła.

I nie gorszono się wówczas tem, że ofiarność zastępuje do czasu obowiązek, nie pytano się wówczas na kształt owych późniejszych emigracyjnych sporów: jaka ma być Polska? czy republika, czy monarchia? (a żadnej nie było!) — nie pytano się jaka to ma być oświata? kto ją będzie normować?... bo chciano, żeby była oświata.

Nie rozpisywano wówczas (jak to zrobił krakowski komitet) powszechnego głosowania: na co ktoś dać chce? czy na szkoły nowe, czy na ulepszenie starych, czy na bursy, czy na stypendya itd. itd.? ale dawano na oświatę po prostu — zostawiając Izbie edukacyjnej i Towarzystwu oświaty użycie pieniędzy w sposób najodpowiedniejszy.

Więc też były wówczas skutki z takiego działania: ilość szkół wzrosła o kilka set, uposażono szkoły lepiej tak co do pensyi, jak i co do ilości nauczycieli, słowem chciano oświaty i pracowano dla niej. Ale bo też wówczas świeżo po rozbiorach kraju czuli to wszyscy, że upadło państwo przez brak oświaty; bo ten brak zrodził znikczemnienie umysłowe i znikczemnienie charakterów, zrodził moralny upadek — bo moralność, jak kwiat bez słońca, bez oświaty istnieć nie może.

Dzisiaj przypomniano sobie, że należy nam od węgłów budować — ale niestety zapomniano, że skuteczność i trwałość budowy zależy od jednolitego planu, że jeżeli istnieją odrębne komitety składkowe, to cel składek powinien być jeden: szkoły ludowe, a użycie funduszów wszystkich razem zlanych za wspólnem porozumieniem nastąpić powinno; że bursy, stypendya itd. to rzecz dalsza i nie tak nagła, że rozterką pojęć i chęci nie należy publiczności bałamucić.

Szkoda, że towarzystwo pedagogiczne w Tarnowie zebrane nie orzekło w tej mierze — bo ma do tego wszelką kompetencyę — powyższa zaś wzmianka historyczna, świadcząca o tem, że składki na oświatę nie są u nas żadną „nowinką zagraniczną,“ niechaj posłuży dziennikom popierającym tę najważniejszą u nas sprawę jako nowy argument dla zachęcenia publiczności, niestety z wielu stron bałamuconej.

# MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

## POWIEŚĆ

przez

## MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

### II.

Cóż go wstrzymało?

Naprzód burza. Ta sama burza, która zmusiła Stasię usunąć się z ogródka do pokoju, zatrzymała Adama w karczmie nad przewozem.

Przewoźnicy nie chcieli na żaden sposób puszczać łodzi na wodę, gdyż już silny wicher począł kłębić fale i woda przybierała. Adam więc mimo chęci musiał przeczekać ulewę w karczmie. To go nudziło i niecierpliwiło. Stał przy oknie i bębniąc palcami po brudnych szybach przypatrywał się machinalnie wyścigom czarnych, potarganych chmur po niebie.

W chwili kiedy deszcz padać zaczął, jakiś kocz zaprzężony w cztery konie zatrzymał się przed karczmą. Z kocza wysiadł stary, mocno już podsiwiały jegomość i jakaś dama otulona chustką i zasłonięta parasolem.

Para ta również zdążała do przewozu i również dla burzy zatrzymać się w karczmie musiała.

Adam będąc w niezbyt dobrym humorze, nie miał wcale chęci bliższego poznajomienia się z przybyłymi. Nie odwrócił się nawet ku nim od okna, gdy wchodzili do szynkownej izby, sądząc, że przejdą zapewne do alkierza. Ale pokazało się, że w alkierzu leżała chora karczmarka. Całe towarzystwo więc mieścić się musiało w szynkowni. Adam nie bardzo był rad z tego. Należał on do tych ludzi, którzy są trudni w robieniu znajomości, szczególniej w podróży.

Innego jednak usposobienia był świeżo przybyły jegomość. Zaledwie bowiem usadowił kobietę z nim jadącą, palnął kieliszek żytniówki i zapaliwszy krótką fajeczkę, zbliżył się do stojącego ciągle przy oknie Adama widocznie w chęci pogawędzenia.

— A to panie ulewa! W szczerem polu jak raz nas złapało... Mnie tam nic, człowiek przy wojsku nie na takie był wystawiony ulewy; ale mojej pannie mogłoby zaszkodzić. Co najmniej — katar. A dla panny to i to niepotrzebne. To też pędziliśmy, co koń wyskoczy. O! patrz pan, jak się ze szkapiąt kurzy.

Na taką lawinę słów wypadało choć kilkoma odpowiedzieć słowami. Temat o pogodzie już zużytkował ów jegomość; trzeba było coś równie zabawnego wynaleźć. W braku zabawniejszych Adam zapytał:

— Państwo także do przewozu?

Stawiając to zapytanie zwrócił się nieco w stronę, gdzie siedziała córka (jak się domyślał) starego jegomościa, nie patrząc jednak na nią.

— A bardzo naturalnie, że do przewozu — odrzekł stary natychmiast, nie chcąc zostać dłużnym w odpowiedzi, a w procencie dodał małe objaśnienie:

— Jeździliśmy z Ewunią w sąsiedztwo na imieniny. Chciano nas gwałtem zatrzymać na noc, bo stary podsędek wielki facecyonista ma doskonały barometr w nogach i przepowiadał deszcz. Ale moja Ewunia się uparła jechać — ta i cóż było robić!

Adam miał ochotę zobaczyć tę despotyczną Ewunię, która tak starego żołnierza za nos wodziła, ale nie wypadało obejrzeć się. Że stary był żołnierzem, o tem nie wątpił; cała jego postawa, ruchy wymownie świadczyły o tem, nie mówiąc już o szerokiej szramie idącej skosem przez czoło ku oku. Cięcie pałasza zadając tę ranę musiało równocześnie pozbawić go i oka, gdyż w jamie ocznej zamiast oka czernił się plaster kitajki. Twarz to była typowa, żołnierska, z zakrojem szlacheckiej brawury i pewności. Im więcej Adam przypatrywał się staremu, tem więcej interesować go zaczął jako artystę. A oprócz tego szczerością i otwartością w rozmowie ujął go bardzo. Serca nie miał wprawdzie na dłoni, ale miał je za to na ustach. Widocznie u tego człowieka nie było żadnej sekretnej schówki na tajemnice. Przez słowa i czyny dusza przeglądała, jak przez szyby.

Adam chciał odwzajemnić szczerość uprzejmością i zawiązać dłuższą rozmowę; ale nie wiedział, jak się zabrać do tego. Przy tem deszcz z takim hałasem tłukł się po szybach i szumiał po dachu, że trudno było prowadzić rozmowę, bo ją burza głuszyła. Stary jednak, widocznie wróg milczenia, nie rejterował z językiem przed burzą i po chwili rzucił Adamowi tubalnym głosem zapytanie:

— A pan daleko?

— Do Krakowa.

— A to w jedną stronę jedziemy, bo ja mieszkam milkę od Krakowa. Pan zapewne geometra? — spytał stary, patrząc na dużą tekę z papierami leżącą na stole.

— Nie panie, malarz.

— Portretowy zapewne?

— Historyczny i rodzajowy.

— A! to niby na jedno wychodzi. Nie kijem go, ale pałką. Daruj pan, że tak słów nie obwijam w bawełnę, ale to już moja natura. Prosto z mosta, panie starosta!

Adam chciał coś odpowiedzieć, gdy naraz zwracając się ku staremu spotkał się spojrzeniem z oczami córki i zmięszał się i zaplątał w słowach, jak student i oblał się cały rumieńcem pod siłą jej oczów, pomimo że oczy te patrzały na niego spokojnie, chłodno, z odcieniem obrażonej dumy i pogardliwej ironii. Właśnie ta imponująca duma zrobiła na nim tak silne wrażenie. Nie spodziewał się bowiem spotkać podobnie majestatycznego spojrzenia w lichej karczemce u przewozu, u córki wiejskiego szlachcica. Spojrzenie jej i twarz przypomniały mu żywo Kleopatrę Var-Rofariego z tą różnicą, że twarz nadwiślańskiej Kleopatry miała mniej regularne rysy, ale więcej ziemskiego powabu i zmysłowej piękności. Na pół balowy strój, troszkę tylko przysłonięty szalem, pozwalał podziwiać rozkoszne linie jej białych ramion i okrągłych, bujnych piersi. Nosek jej z lekko rozdętemi skrzydełkami nozdrzy, ślicznie zakrojone usta, śnieżnej białości cera, dwa dołeczki wdzięków i szyjka delikatną, ponętną linijką oddzielona od półbródka, wszystko to było lubicznie pięknie. Jeżeli spojrzeniem przypominała Kleopatrę, to pełnością kształtów i powabem Rubensa Venery. Ząbki jej stworzone były do uśmiechu, a usta kusiły i ośmielały do pocałunku. Gdyby nie dumne, królewskie spojrzenie, które stało na straży tego raju rozkoszy, patrzący mogliby się zapomnieć i być głuchym na głos rozsądku w obec silniejszej, namiętniejszej gry rozdrażnionych nerwów. Nic więc dziwnego, że Adam pchnięcie tego spojrzenia uczuł tak silnie, zwłaszcza, że surowość jego w obecnej chwili była spotęgowaną. Adamowi nie trudno było domyśleć się powodu tej surowości. Był niegrzecznym, bardzo niegrzecznym ignorując ją do tego czasu. Fantazya artysty namalowała mu w myślach, ile uroku i czarów muszą mieć te oczy w chwili rozmarzenia. Próbował choć trochę rozbroić ich surowość i spojrzał w nie z pewną skruchą i żalem, próbował wytrzymać ich spojrzenie, ale nie zdołał. Oczy te zgięły go moralnie ku ziemi, czuł ich gniotące dotknięcie na wszystkich nerwach i zwyciężony omdlewał—z rozkoszy. Nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co się z nim działo. Stan, w jakim się znajdował, był dziwny, odurzający, nienaturalny, jednak nader przyjemny. Pod tem wrażeniem zapomniał zupełnie o odpowiedzi staremu żołnierzowi. Ten jednak nie dał mu długo odpoczywać i po chwili spojrzawszy na złote litery A. G. spytał go:

— Przepraszam pana, czy przypadkiem nie jesteś Aleksander Gryglewski?

— Nazywam się Adam Gilski.

— Gilski, Gilski — powtarzał stary coś sobie przypominając — czy nie syn Jerzego?

— Tak.

— Ojciec pański był w apelacyi?

— Tak. Pan go znałeś?

— Alež znałem, jak zły szeląg. No! tośmy w taki sposób jacyś krewni, bo ciotka moja była także za jakimś Gilskim. Z ojcem pańskim służyliśmy w jednym pułku. A może ci nawet kiedy wspomniał o jednookim cyklopie, bo tak mnie potem nazywano?

— Ojca mojego nie znałem. Umarł, gdym był jeszcze dzieckiem.

— Więc tylko masz pan matkę?

— Miałem. Matka także nie żyje.

— Sierota tedy? — odrzekł z współczuciem stary.

— Tak.

— Tym więcej nas zatem musisz kochać, jako krewnych. Muszę cię zaraz przedstawić mojej córce.

Wziął go za rękę i poprowadził ku niej.

— Ewuniu! masz jeszcze jednego kuzynka więcej. Adam Gilski. Bo to u nas tak — mówił dalej zwracając się do Adama — szlachcic szlachcicowi jeżeli nie brat, choć swat.

Kiedy to mówił stary, młodzi tymczasem zmierzyli się spojrzeniami.

Było to jakby skrzyżowanie rapierów. W tem starciu rapier Adama opadł ku ziemi pod silnem i pewnem uderzeniem przeciwniczki.

Ktokolwiek obserwował kiedy dwie osoby poznające się, musiał zauważyć tę niemą szermierkę oczów. Dzieje się to mimo woli i wiedzy naszej. Dusze zbliżające się ku sobie wyzywają się na spojrzenia i próbują swej mocy. Tutaj Ewa zwyciężyła. Sparowała cięcie, zgięła spojrzenie Adama ku ziemi i trzymała go czas jakiś w tem poskromieniu.

Przypadek uwolnił go z tego położenia. Ewie upadła batystowa chusteczka na ziemię. Adam schylił się, by ją podnieść, a że i Ewa równocześnie się schyliła, więc twarze ich spotkały się tak blisko, że Adam uczuł ciepły oddech jej ust na swojej skroni. Krew w pulsach jakby młotami uderzyła w nim. I Ewy twarz oblała się rumieńcem. Ale rumieniec ten pochodził od czerwonego blasku błyskawicy, która w tej chwili oświeciła szynkownię. Równocześnie dało się słyszeć silne uderzenie pioruna.

Adam, który właśnie oddawał Ewie podniesioną z ziemi chusteczkę wstrząsnął się. Ewa widząc to uśmiechnęła się ironicznie. Adama ubódł ten uśmiech; kobieta,

*

panna śmiejąca się przy akompaniamencie piorunów jest to zawsze coś przerażającego, potwornego.

Musiała odgadnąć, przeczytać mu w oczach te myśli, bo usiłowała się usprawiedliwić.

— Nie miej mi pan za złe tego śmiechu — rzekła — jest to nerwowe. W chwili silniejszego wzruszenia napada mnie często taki spazmatyczny śmiech. A w obecnej chwili miałam powód być wzruszoną — —

Zatrzymała się chwilkę w mowie, pozwalając mu się wiele domyślać tem milczeniem, a potem dokończyła z uśmiechem:

— Wzruszoną piorunem.

To mówiąc wzięła z rąk jego chusteczkę i podziękowała uściśnieniem ręki. Przypadkiem na swojej ręce nie miała rękawiczki; Adam więc uczuł ciepłe, aksamitne dotknięcie jej dłoni, które mu sprawiło dziwne, rozkoszne drżenie w nerwach. W chwili takiej, w której uczucie lub namiętność tak silnie przemawia, usta zwykle skąpe są w słowa. To też Adamowi trudno się było zdobyć na rozmowę. Wypadało mu przy pierwszem poznaniu choć kilka słów przemówić, a znaleźć ich nie mógł.

Z oczów Ewy można było wyczytać, że wiedziała, jakie wrażenie zrobiła na nowym kuzynku i bawiła się czas jakiś jego zakłopotaniem nie poddając mu tematu do rozmowy. Chwilę więc jakąś trwało milczenie, wśród którego Ewa miała sposobność bliżej przypatrzyć się Adamowi i znalazła go bardzo przystojnym. Adam bowiem rzeczywiście przedstawiał typ piękności męzkiej bez zarzutu, byłby nawet za piękny, gdyby pasowanie się z losem i praca duchowa nie nadały były jego zbyt delikatnym, żurnalowym rysom nieco zakroju męzkiego i wyrazu głębszego. Sieroctwo i zawód artystyczny uduchowniły piękność jego twarzy i zrobiły ją interesującą, nieśmiałość i zakłopotanie w tej chwili jeszcze więcej powabną.

Ewa z przyjemnością zatrzymała na niej wzrok czas dłuższy. Potem chcąc go wyprowadzić z zakłopotania i milczenia zapytała:

— Pan wracasz zapewne z zagranicy?

— Tak.

— Z Paryża?

— Nie, z Monachium.

— Ach, to podobno nadzwyczaj nudne miasto.

— Dla malarza nie. Posiada bogate galerye, akademię.

— Tak, dla pana jako dla artysty mogło ono jeszcze mieć jakieś zalety; ale dla nas zwyczajnych ludzi żadnych.

— Pani nie jest amatorką sztuki?

— Nie uciekam od pięknego obrazu, bo piękność umiem ocenić zawsze i wszędzie (słowa te mówiła ze znaczącym naciskiem patrząc na niego); ale przyznam się panu, że gdyby mi dano wybierać między oglądaniem wystawy jubilerskiej, a wystawy obrazów, bez namysłu obrałabym to pierwsze. Pana to może gorszy? — spytała widząc odcień niezadowolenia chmurzący jego czoło. - Nie moja w tem wina. Każdy ubiega się za tem, co mu nadaje w świecie większą wartość, co go podnosi w oczach ludzi. Wam panowie tę wartość nadaje sztuka, talent — nam brylanty, moda i piękność. Czy masz pan co przeciw temu powiedzieć?

Adam chciał coś odpowiedzieć, gdy stary major, któremu ta rozmowa młodych za długą i za nudną się wydawała, przerwał mu i rzekł:

— Daj pokój, nie przegadasz jej. Nieodrodna córka Ewy. A tyś Adam — więc strzeż się jej.

Słowa te na wiatr rzucone przez starego majora zastanowiły nieco Adama. Spojrzał się z dziwnym jakimś niepokojem na Ewę. Spojrzenie było tak waraziste, że nie mogła go nie zauważyć.

— Jak widzę — rzekła — pan na seryo lękasz się tego, byś za moją przyczyną nie utracił raju. Czy pan znalazłeś już taki raj na ziemi? Rumieniec zdradził pana i odpowiedział: tak.

— A cóżby to był za mężczyzna, żeby dotąd się nie kochał! Szczególniej za granicą. Pewnie tam nie jedna Bawarka w piwie szuka po nim pociechy.

— Ojciec mówi o piwiarni, a ja o raju. Pan Adam mnie rozumie. Nieprawda?

– Moja droga, alboć to w piwiarni raju znaleść nie można? Podczas naszych marszów nie jeden zostawiał serce kwaterą u karczmarek. A nawet kapitan pułku, w którym służyłem, ożenił się na Litwie z karczmarką, z prostą karczmarką, jak mnie żywego widzicie. Ależ bo to była dziewczyna — niech ją nie znam!

— Niech ojciec nie zapomina, że pan Adam jest artystą, nie żołnierzem i pewnie lepszy zrobił wybór niż ów kapitan. Prawda?

— Nie zrobiłem jeszcze wyboru. Ale mnie się zdaje, że nie zważałbym na stan, ani urodzenie, ale na przymioty i serce.

— Tak mówicie wszyscy panowie zanim zaczynacie rachować. A rachować umiecie wszyscy, nawet artyści.

Starego majora nie bawiła ta rozmowa, w której tak mało było miejsca dla niego. Lubiał gawędzić długo i swobodnie. Nałożywszy więc świeżo fajurkę, wyniósł się do sieni, gdzie stało kilkoro ludzi, którzy się z pola schronili przed ulewą. Młodzi zostali sami w szynkowni.

— Więc pan nie zrobiłeś jeszcze wyboru — mówiła Ewa, skubiąc rąbek chusteczki — a jednak, gdy była mowa o raju, zarumieniłeś się pan. I w tej chwili nawet się pan rumienisz.

-- Czyż raj tylko w miłości znaleść można? — spytał Adam. Są uczucia głębsze, trwalsze niż miłość.

— Naprzykład?

— Naprzykład uczucie przyjaźni, przywiązania, wreszcie miłość do sztuki, do ludzkości. Biednym byłby człowiek, gdyby musiał żyć jednem tylko uczuciem, bo wtedy zawód, lub utrata, byłyby śmiercią dla niego.

— A więc pan kochasz sztukę?

Adam milczał Milczenie było wymowną odpowiedzią, mówiło jej, że się omyliła. To milczenie dotknęło ją, drasnęło. Domyśliła się powodu jego i rzekła:

— Daruj ‚mi pan, że byłam tak niedyskretną i chciałam się wdzierać do tajemnic pańskich. Zapomniałam, że są rzeczy o których się nie mówi — nawet kuzynkom.

Domysł jej był nie zewszystkiem trafny. Adam jeżeli milczał, to nie tyle dla tego, żeby się chciał skryć przed nią ze swem uczuciem dla Stasi, jak raczej, że nie umiałby nawet przed sobą samym zdać sprawy, jakiego rodzaju było to uczucie. Pytanie Ewy pierwszy raz potrąciło to uczucie, któremu nie dał jeszcze nazwiska.

Był więc w kłopotliwem położeniu, z którego uwolniło go wejście majora.

Przyszedł on zawiadomić córkę, że za pół godziny będą mogli się przewieść, gdyż nawalnica już ustaje i niebo się przeciera. Adam teraz dopiero spostrzegł, że deszcz pada jeszcze, że na polu już zmierzchać się zaczynało. Wśród rozmowy z Ewą zapomniał był o tem wszystkiem, nic nie słyszał ani widział, prócz niej.

Teraz dopiero opamiętawszy się wyszedł do sieni naradzić się z furmanem i przewoźnikami.

Burza w istocie już ustawała. Najgęstsze i najczarniejsze chmury przewaliły się po za wzgórza pomrukując głuchymi grzmotami, deszcz coraz rzadszy i cieńszy zacinał w sień karczmy, a na niebie tu i owdzie jaśniejsze miejsca jak okna w murze się otwierały. Strumienie wody na gościńcu coraz węższe żłobiły sobie koryta ku Wiśle, a niektóre już znikały w piaszczystych namuliskach. Ale za to rzeka przypływem mętnych strumieni wezbrała mocno i gwałtownym płynęła prądem. Przewoźnicy z trudnością tylko decydowali się na przewiezienie dwóch bryczek i to nie razem. Naprzód więc dla próby mieli przewieść lekką bryczkę Adama, a potem zabrać kocz majora.

Pomimo, że zaraz zabrali się do tego, rwiący prąd wody tak daleko ich poniósł, tyle musieli napracować się wiosłując napowrót pod wodę, że kiedy kocz majora wtoczono na prom, dobrze już ciemno było. Tylko na zachodzie biały pas się rozciągał i odbijał w wodzie, odgraniczony czarną chmurą jak kotarą.

Ewa nie chciała siedzieć w koczu podczas przewozu. Wysiadła i stanęła na brzegu promu trzymając się za rękę Adama. Ile razy silniejsze pchnięcie wioseł zakołysało promem — Ewa chwiejąc się przechylała się na jego ramię i ściskała go silnie za rękę, by nie upaść. Za każdym razem przepraszała go mocno, że mu sprawia tyle ambarasu i zajęcia.

W skutek tego zajęcia zapewne Adam nie spostrzegł jak dobili do drugiego brzegu i dziwiło go, gdy usłyszał przewoźników narzekających, że tak mozolnie i tak długo się przeprawiali. Jemu czas ten wydawał się za krótki i nie kontent był, że się ta jazda już skończyła, że trzeba będzie wnet pożegnać majora i jego córkę i wsiąść do bryczki. Już mu się nie spieszyło tak do Krakowa. Burza nauczyła go cierpliwości i ostudziła niepokój.

Kiedy się zbliżył do majora, aby się z nim pożegnać, ten zdziwiony spytał go:

— Jak to już? Wszakżeż razem w jedną stronę jedziemy.

— Tak, ale ja ją lę dalej i spieszyć się muszę.

— A za kogoż mnie ty masz chłopcze, żebym ci pozwolił przejechać koło mego dworu i nie zatrzymał na noc? Prosta gościnność wymagałaby tego, a cóż dopiero pokrewieństwo.

Adam począł się wymawiać od zaproszenia. Na to zbliżyła się Ewa i rzekła biorąc stronę Adama:

— Jak możesz ojcze zatrzymywać pana Adama? Może mu jest bardzo pilno stanąć w Krakowie. Może tam czekają na niego.

— Ale któżby u licha czekał po nocy? Na co ma tłumić się i budzić tam kogo, gdy u nas wygodnie się przespi. Nie ma co gadać. Zabieram cię gwałtem w niewolę i basta. Siadaj z nami.

Adam z niewielkim oporem poszedł w tę miłą niewolę. Siedli do powozu. Major z córką w głębi — on naprzeciw nich z przodu.

— Nie wziąłeś pan nic cieplejszego ze sobą? — spytała Ewa. Ton jej głosu teraz był miękki, łagodny.

— Młody niech się hartuje — odezwał się major.

— Oziębiło się bardzo powietrze po deszczu — mówiła znowu Ewa. Noc jest chłodna. Weź pan mój szal. Nie jest mi potrzebny — mam na sobie drugi. Owiń się pan.

Adam ulegając naleganiom Ewy, otulił się jej szalem. Szal był miękki, delikatny, pachniał wonią jej ciała. Zapach ten rozmarzał Adama.

I oto przyczyna dla czego Stasia napróżno czekała jego przybycia, dla czego doczekać się go nie mogła.

(C. d. n.)

Ostatni wiersz Adama Pajgerta.

# MOJE CREDO.

## (Do K. U.)

Sercom, co w zmysłów kale ugrzęzły
Oh! niepojęte
Takie, jak nasze, druhu mój, węzły,
Wzniosłe a święte!

Bo też my insi, my dziś osobni,
Gdy świat się plami,
Na poły dumni, na pół żałobni,
Żyjemy sami.

Na ateistów my za rozumni,
Wiemy, co trzeba,
Na pochodzenie z błota za dumni
Ród wiedziem z nieba.

My za pobożni na Faryzejów
Ultramontaństwo,
Jest Bóg wszechświatów, jest Bóg wszechdziejów,
Reszta pogaństwo!

Sile przed prawem, by dać pokłony,
Nie nasze karki,
Bez cześci u nas Napoleony,
Bez czci Bismarki.

Na demagogów myśmy za czyści
Całem jestestwem,
Nam demokracya cnotą się iści,
A nie łupiestwem.

Niech szuka w małpach swych antenatów,
Czyja w tem wola,
Myśmy świetlanych potomki światów,
Wnuki Apolla.

Niech szydzi z pieśni, niegdyś królowej,
Plemię kramarzy,
My zawsze płomień palim Zniczowy
U jej ołtarzy.

Jak Bóg Delficki wieszczenia głosim
Choć tłum nie słucha,
Na czołach wieńce z promieni nosim
Od ogniów ducha.

Nas nie zastraszy przed piekłem trwoga,
Syk jezuicki,
Lepszego w sercach my nosim Boga,
Niż katolicki!

Niech iglicówki gotują ludom
Znów niewolnictwo,
Ku wszech-wolności my dążym cudom,
W świata dziedzictwo!

Lub ten ład stary, bliskimi czasy
Niech się rozprzęże,
Gdy z wszelkiem prawem pójdą w zapasy
Bezrządu męże,

I w gruz i zgliszcze wszystkie z przeszłości
Wmiotą spuścizny,
I wiar nie będzie w onej nicości,
Ani ojczyzny!

Przeciw nim staniem jak przeciw carom
W ojczystym progu,
My ideału wierni sztandarom,
Polsce i Bogu!

I krzyk podniesiem przeciw ich krzykom
Na ziem krawędzie,
Wbrew wszystkim tronom, wbrew republikom,
Że Polska będzie!!

Z tem hasłem legniem, ducha rycerze,
Z niem wskrześniem z grobu,
Choćby przy dawnej nie wytrwał wierze
Nikt, prócz nas obu!

# KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

## i jego prześladowcy,

### szkic biograficzno-krytyczny

przez

**HENRYKA SCHMITTA.**

(Ciąg dalszy.)

Wszystkie przytoczone dotąd świadectwa nie mogą przekonać sumiennego historyka o słuszności zarzutów, czynionych Kołłątajowi, ponieważ samo przeprowadzenie dowodu, że radził królowi 23 Lipca przystąpić do konfederacyi targowickiej, i sam następnie gotów był wejść do niej, jeżeli dane mu będą rękojmie, że tem ochroni się od prześladowania, tudzież od utraty dóbr i urzędu, nie stanowi jeszcze dowodu, jakoby krok ten z niecnych lub ojczyźnie szkodliwych chciał był zrobić pobudek. Nic też dziwnego, że i Wegner, który pisząc o nim rozprawę, zbadał dokładnie wszystkie okoliczności i postępowanie całego życia jego, wolał obwinić ogół o chwiejność i brak wytrwałości w chwili tak stanowczej, niż poddawać niegodziwe pobudki pojedyńczemu człowiekowi, który przedtem i potem okazywał zawsze gotowość poświęcania się w sprawie ojczyzny. Wolelibyśmy niewątpliwie, by w dziejach naszych i w życiu Kołłątaja nie było 23 Lipca 1792 r., lecz ztąd nie wypływa bynajmniej, że w tej nawet chwili myślał o ubezpieczeniu własnych jedynie korzyści chociażby ze szkodą ojczyzny, lub że był gotów pójść jako bezwolne narzędzie w służby Targowicy i Moskwy i pracować z niemi wspólnie nad zniszczeniem dzieł sejmu czteroletniego, byle ocalić swój urząd i dobra, jak mu zarzuca Siemieński. Wykażę poniżej, że myśl podobna nie powstała nigdy w głowie jego i że przeciwnie w szlachetnym tylko zamiarze odwrócenia ile możności grożących ojczyźnie niebezpieczeństw chciał wejść do Targowicy. Tu zaś zwracam uwagę Siemieńskiego na tę okoliczność, że jeżeli wszyscy, na których, zdaniem jego, żadna nie ciąży plama, a których sam mieni prawdziwymi i szczerymi patryotami, utrzymywali zawsze stosunki poufne i przyjazne z Kołłątajem a nawet po 23 Lipca 1792 r. okazywali mu ciągle cześć zasłużoną; jeżeli później mimo pamfletu Linowskiego Adam Czartoryski, Tadeusz Czacki, Jan Śniadecki, Woronicz i mnodzy inni równem darzyli go poważaniem, czyż nie dowodzi już to samo w sposób niezbity, że wierząc w czystość jego zamiarów i w prawdziwość jego gorących dla ojczyzny uczuć i chęci, odrzucali ze wzgardą nikczemne oszczerstwa i potwarze osobistych jego nieprzyjaciół? Jan Śniadecki musiał przecież czytać ów list Linowskiego do przyjaciela, drukowany w Krakowie 1795 r., a więc wtedy, gdy był jeszcze profesorem akademii krakowskiej. Gdyby zatem podane w nim szczegóły były prawdziwe, a tem samem zdarłszy maskę obłudy z Kołłątaja, pokazały go, jakim był, czyż w obec takiej rzeczywistości faktów chciałby był Śniadecki swe własne dobre imię podać w wątpliwość wynoszeniem obłudnika, który raczej na potępienie niż na pochwałę zasługiwał? Posłuchajmy zatem, co powiedział o nim Śniadecki na końcu swej rozprawy i to w obecności niejednego z tych, którzy go znali osobiście z czasów sejmu czteroletniego:

„Mąż tych przymiotów i darów mógł szczęśliwie dowodzić i okryć się chwałą na spokojnem polu nauki i rozmyślania, ale wystąpiwszy na scenę rozpraw ginącego narodu, gdzie wszystkie wysilenia rozumu bez nadzwyczajnego w sztuce wojennej talentu są próżne i daremne, gdzie Minerwa nie wcieliwszy się w Bellonę, jest bóstwem mało przydatnem, musiał spotkać wyrok twardego przeznaczenia, skazujący go na pastwę nienawiści i zemsty. Rewolucya krajowa jest, jak owa bajeczna u poetów Circe, która swoich dowódzców przerabia w burzycielów porządku, gdy się nie uda, albo w bohaterów i zbawców, gdy swego dopnie. Złorzeczenia i wyrzuty w nieszczęściu przemieniają się na błogosławieństwa i uwielbienia w powodzeniu. Kto się puszcza na to morze niebezpieczeństw, poddaje się tej nieuchronnej wypadków kolei. Uważając nawet usiłowania Polaków w sprawie narodowej jako błąd polityczny, wiemy, że go Kołłątaj nie popełnił, ale w odmęt już popełnionego był zagarniony. Wchodził tylko dzielnie do gwałtownych lekarstw ratunku: mylił się i zawodził, kiedy się prawie wszyscy mylili i zawodzili; najwięcej za te omyłki odpokutował, bo najwięcej ucierpiał: owszem poświęciwszy wszystko, podzielił zupełnie swój los z ojczyzną, straciwszy wszystko prócz honoru i sławy.“

Takie dał świadectwo Kołłątajowi Śniadecki, a wypowiedział je publicznie i w obecności żyjących jeszcze współpracowników jego w dziele odrodzenia ojczyzny, którym były dokładnie wiadome wszystkie szczegóły życia jego. Mogąż z niem wytrzymać porównanie pod względem wiarogodności przytaczane z taką lubością przez Siemieńskiego zdania Linowskiego, Bułhakowa i Fryderyka Smitta? Mógłże Wegner, mając przed oczyma świadectwo takiego, jak Śniadecki, człowieka, którego nikt przecież o stronność i rozmyślne fałszowanie prawdy nie śmiał pomawiać, przypisywać niecne osobiste pobudki lub samolubne widoki Kołłątajowi dla tego jedynie, że tego życzy sobie Siemieński? Zwalając winę na ogół, nie poszedł Wegner za daleko w swej wyrozumiałości, jak mu to wytyka Siemieński, lecz dopełnił tylko obowiązku historyka, ponieważ widząc z jednej strony tak kategorycznie wypowiedziane świadectwo Śniadeckiego, a z drugiej brak dowodów niewątpliwej wartości świadczących przeciw Kołłątajowi, wolał przypisać krok ów jego ogólnym względom politycznym i moralnemu usposobieniu

narodu w tej chwili stanowczej, niż podsuwać mu z Linowskim i duchami moskiewskimi niecne pobudki.

XI.

Siemieński mniema, że gdyby Wegner miał był wiarogodny dokument, usuwający wszelkie wątpliwości, byłby zupełnie inny sąd wydał o Kołłątaju. Wnosi też zaraz, że skoro takiego dokumentu dostarczają mu własne listy tegoż, rzucające światło na pobudki, które wypływały z charakteru jego i sposobu myślenia, zmieni teraz swoje zdanie o nim. Czy Wegner ziści nadzieje jego, nie moją rzeczą orzekać. Za to wolę wykazać bezzasadność zarzutów, jakimi sam obarczył Kołłątaja w krótkiej a jadowitej przedmowie swej do tego zbioru 114 listów jego. Oto, co mu w niej zarzuca:

1) że z pobudek samolubnych starał się zaraz od początku wojny, czyli po nadejściu deklaracyi moskiewskiej o przystęp do Bułhakowa, na którego protekcyę wiele rachował, a który go używał lecz i lekceważył;

2) że z tych samych pobudek doradzał królowi przystąpienie do Targowicy i sam wcześniej tajemny do niej uczynił akces, tudzież reces od sejmu czteroletniego;

3) że później zręcznem kłamstwem wyparł się tego kroku i starał się go bielić w opinii, co dowodzi najlepiej, że nie uczynił go z przekonania, lecz ze względu na osobiste korzyści;

4) że turbacya o majątkowe interesa i wygody życia wystawnego podsuwała mu drobne spekulacyjki na stroikach damskich, płótnach i t. p. fraszkach, tak nieodpowiednie pozycyi exulanta ministra i powołaniu duchownego;

5) że listy jego innym tchną duchem, dopóki się spodziewał, że potrafi przystęp znaleźć do konfederacyi, ocalić swój urząd i dobra, lecz że ton ich zmienił się nagle, odkąd konfederacya sancytami swemi z 14 Maja i 16 Czerwca 1793 r. wydarła mu urząd i dobra, ponieważ odtąd dopiero częsta w nich jest mowa o cyfrach, tajemnych poleceniach dawanych wysłannikom i jakichś przygotowywanych w kraju robotach;

6) że odtąd też w pilnej jest robocie książka: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3go Maja,“ pisana zbiorowo według jego układu i planu, która nie mało się przyczyniła do zaszczepienia wewnętrznej w narodzie waśni, odzywającej się i dziś jeszcze jako echo owego czasu;

7) że pod świetnymi godłami dobra ojczyzny i poświęcenia się dla ogółu umiał pamiętać o sobie, i że tamte były w rzeczy pięknemi tylko słowami i frazesami, które z pióra jego sypały się tak obficie i obałamucały opinię, nie zapuszczającą się głęboko w prawdziwe pobudki jego postępowania i dlatego otaczającą go tą samą aureolą, jaka otaczała czoła prawdziwych i szczerych patryotów;

8) że chodząc zwykle krętemi drogami udawał, jakoby nie wypadało mu pisać do Szczęsnego Potockiego, marszałka konfederacyi targowickiej, lecz że za to zgłaszał się ciągle do Hulewiczów, Prota Potockiego, ks. Ossowskiego i innych, mających przystęp do niego, aby przez nich zjednać sobie względy jego i tym sposobem ocalić swój urząd i ogromne majętności, dla których gotów był każdej chwili zrzygnować ze swoich przekonań i związać się z przeciwnikami politycznymi a nawet z mocarstwem, względem którego zdawał się być nieprzejednanym;

9) że należąc do stronnictwa rewolucyjnego zżymał się na exjezuitę Łuskinę, redaktora *Gazety Warszawskiej*, który uderzał ciągle na rewolucyę francuzką i t. p.

Wszystkie te i inne zarzuty wysnuł Siemieński, jak już wspomniałem, z pamfletu Linowskiego, ze sprawozdań Bułhakowa i dzieł Fryderyka Smitta, tudzież z innych źródeł tej samej wiarogodności, a upewnia w dodatku, że czytelnik znajdzie potwierdzenie najzupełniejsze każdego zarzutu w tym zbiorze listów Kołłątaja. Jaką jest wartość tamtych źródeł, wykazałem poprzednio, a teraz przystąpię do rozbioru listów samego Kołłątaja, aby się przekonać, czy rzeczywiście zawarte w nich wynurzenia najpoufniejszej natury potwierdzają zarzuty Siemieńskiego.

(C. d. n.)

---

# CYD,

## według Romancero Hiszpańskiego,

**z przekładu Herdera**

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI.

**CYD**

pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

22.

Królom usta zamknąć zdolne
Nieraz jednej dziewki słowo,
Co zuchwalsze a gwałtowne.
Don Fernando już w konaniu
Słysząc lament swojej córy,
Miał dość siły aby westchnąć
Nad zuchwalstwem jej i pychą.
Ale ledwie miał dość siły
By odpowiedź dał ojcowską —
Długo w głowie zbierał słowa,
Aż się w drżący głos odezwał:
— „Córko! gdyby łzy te hojne,
„Co tak płyną za mamoną,
„Za twym ojcem tak płynęły:
„Zdaje mi się żeby jeszcze
„Mogły życie mi przywrócić...
„Ale kiedy masz łzy tylko,
„Co za dóbr marnością płyną
„Tu przy mem śmiertelnem łożu,
„Pomyśl, pyszna, bezserdeczna,
„Cóż zabiorę z sobą z świata
„Umierając, w tamten świat?
„O dzięk czynię stwórcy memu,
„Że mi jeszcze sił użycza,
„Bym oczyścił twoją duszę
„I odezwał się do ciebie.
„Ufam, teraz już nie zbłądzi
„Duch mój, w drodze swej do nieba,

„W ogniu słów twych, moje dziecko,
„Już przebyłem czyściec istny;
„O! Bo pomyśl, czyż godzina
„Do słów takich była skora,
„W mego skonu dzień straszliwy?
„Zajrzysz braciom dóbr i państwa,
„A oślepłaś w twej zawiści
„Na ciężary, trudy, troski,
„I na straszne powinności,
„Co z królestwy na nich spadną?
„Na trud ludy rządzić tymi,
„I na ciężar mądrych rządów?...
„Wszystkom to opuścił tobie!
„Oni w mieniu byli biedni,
„Ty bogata w twem ubóstwie!
„Bo niewiasta twego stanu,
„Z którą nikt się nieporówna,
„Czegoż pragnąć może bogactw,
„Czego pragnąć może sobie
„Nad klasztorną tu spokojność?
„Prawda, żeś jest moją córą,
„Ale pyszną córą iście!
„I musiałem marne myśli
„Mieć na głowie, gdym cię zrodził!
„Dobra matka cię zrodziła,
„Ale podłą mamkę ssałaś,
„Temu świadczą twoje słowa
„Że pokarm był niepoczciwy!
„Grozisz uciec do obczyzny,
„Któż o córko językowi
„Tak zwykł puszczać wodze wszelkie?
„I brać na kieł z dobrą sławą?
„Jużeś przeszła jej granice
„Temi namiętnemi słowy!
„Łatwiej mi, zrozumieć mętność
„Niedojrzałej mózgownicy!
„Jak przeboleć, że twe serce
„Chociaż z mojej krwi zrodzone
„Tak się skałą wyrodziło!...
„O sióstr waszych mienie, bracia
„Starać mieli się — tak chciałem,
„Teraz mieć chcę, abym z sobą
„Zabrał wszystkich moich dzieci
„Do grobu błogosławieństwo,
„Oto ma ostatnia wola:
„Niechcę cię w ubóstwie widzieć,
„Odkąd rzekłaś takie słowa,
„Zbyt szlachetną jest krew moja —
„Ale znam ja twoją płeć!
„A więc miasto me, Zamorę,
„Zostawiam Ci, twierdzę silną,
„Ludną, piękną, okazałą;
„Męże dzielne w niej cię bronić
„Będą, i takim honorem
„Cię otoczą, że zmuszoną
„Będziesz, myśleć o honorze!...
„Chociaż młodsza twoja siostra
„Nie prosiła o to samo,
„Daję jej krainę Toro,
„Tak jak tobiem dał Zamorę.
„Taka moja, dzieci, wola,
„A jeżliby z braci który
„Kiedykolwiek moje córy
„Śmiał ukrzywdzić, temu daję
„Zamiast łask błogosławieństwa
„Raz na zawsze: grom przekleństwa!"
Wszyscy rzekli głośno: „Amen!
„Krzywdzicielom sióstr swych biada!
„Oby grom ich strzaskał głowę!"
Tak Don Garcia i Alfonso,
Rzekli: „Amen!" lecz Don Sancho
Jeden on, wśród zgromadzenia
Przy śmiertelnem ojca łożu,
Tylko „Amen!" nie powiedział.

(*Koniec części pierwszej.*)

Część druga nastąpi później.

# PITAGORAS,

## USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW WAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

### I.

Czas i przestrzeń — oto kategorye, których historyk jak najpilniej strzedz powinien. Jeżeli filozofowi wolno na chwilę wznieść się myślą swą po za czas i przestrzeń, jeżeli filozofowi wolno stawiać pytania, czy przestrzeń i czas są rzeczywistością lub tylko pozorem: to historykowi w kwestyc tego rodzaju mięszać się nie wolno, lecz przeciwnie obowiązkiem jest tegoż, przestrzeń i czas uważać za nieodmienną rzeczywistość — za konieczność. Zarazem winien historyk zwracać swą uwagę na jedność w czasie i przestrzeni, bo tylko wówczas będzie mógł poznać prawdziwą treść historyi, a w razie przeciwnym byłby skazanym na wieczne błąkanie się po manowcach.

Nauka o czasie, t. j. chronologia i nauka o przestrzeni, t. j. geografia historyczna, są dla historyka tak ważnemi umiejętnościami pomocniczemi, że bez nich ani kroku postąpić nie potrafi. Jeżeli tak ma się rzecz z historyą w ogólności, jakżeby się mogło mieć inaczej z historyą starożytną a zwłaszcza z historyą oryentalną, gdzie pod względem chronologicznym aż do bardzo niedawna prawie zupełna panowała ciemność? Dzieje ludzkości wedle sposobu widzenia prawie wszystkich uczonych rozpadają się na dwie części, na dwie epoki; pierwszą z nich stanowi świat przedchrześcyański, drugą świat chrześcyański. Podział dziejów najzwyczajniejszy, na dzieje starożytne do upadku państwa rzymskiego zachodniego, średniowieczne do upadku państwa rzymskiego wschodniego i nowożytne do dni dzisiejszych, zasadza się w gruncie rzeczy na podziale dziejów na przedchrześcyańskie i chrześcyańskie; tylko że jest to niesłychaną trudnością dla dziejopisa wyszukać ten węzeł, w którym by się świat przedchrześcyański z chrześcyańskim był powiązał, tej granicy, którąby te dwie epoki oddzielała od siebie — czyliby tę granicę stanowić miało przyjście na świat Chrystusa, jego śmierć, wprowadzająca ogłoszoną przezeń naukę w życie narodów, czy też chwila, kiedy Konstantyn uznał religię chrzescyańską za państwową, lub może wreszcie ów moment, kiedy Romulus Augustulus przestał być rzymskim cesarzem a zarazem świat rzymsko-pogański swój tuteczny żywot bezpowrotnie zakończył? Za którą chwilą wypadałoby oświadczyć się, nie chcemy tutaj rozbierać, gdyż tym razem postanowiliśmy sobie rozpatrzyć się tylko w dziejach przedchrześcyańskich a mianowicie w drobniutkiej tylko ich cząstce, bo w epoce, w której żył Pitagoras.

Jeżeli nie wiemy dokładnie, kiedy Chrystus na świat przyszedł, jeżeli nie wiemy nawet w przybliżeniu czasu, w którym ludzkość na świecie a raczej na ziemi

się pojawiła, to jednakowoż nowsze badania i poszukiwania uczonych dają nam już możność oryentowania się w dziejach przedchrześcyańskich.

Chiny, których dzieje niektórzy uczeni, jak n. p. Max Duncker w swej historyi starożytności milczeniem pomijają, są niezaprzeczenie jednym z najstarszych ludów; dowodem tego ich jednozgłoskowa mowa, symboliczne pismo i patryarchalna forma rządów — wszystko pozostałości jeżeli nie z czasów pierwotnych, to niezawodnie bardzo dawnych, odwiecznych. Nawet mamy fakta co do starożytności Chin, jak n. p. szczątki owego osławionego wielkiego muru, zbudowanego w trzecim wieku przed Chrystusem; już w r. 1.100 przed Chrystusem obliczał Czeu-Kong wysokość cienia, które to obliczenie astronom Mädler sprawdzał, a rok 857 mamy jak najdokładniej obliczony przez wsteczne sprawdzenie przez matematyków zaćmienia słońca w owym roku.

Przyjmując podział historyi Chin na dzieje starożytne do przyjścia na świat Kongtsego (Konfucyusza), średniowieczne do zawładnięcia Chinami przez tatarskich cesarzy i nowożytne do dni dzisiejszych, spostrzegamy, że wiek szósty przed Chrystusem i w historyi chińskiej, jak w egipskiej, indyjskiej, greckiej i innych nową stanowi epokę. Roku 551 przed Chrystusem narodził się Kongtse, a roku 479 t. j. dziewięć lat przed Sokratesem umarł. Był to niezawodnie jeden z największych mędrców świata, a dla swojego narodu był alfą i omegą wszelkiej wiedzy; jeżeli z jednej strony uważać go należy za reformatora Chin starożytnych, to z drugiej znów strony stanowi on jeszcze do dziś dnia podstawę religii, moralności, prawa, filozofii, słowem całego życia Chin. To też Konfucyusz jest tą gwiazdą, według której dziejopis pomyka po horyzoncie chińskiej historyi. Chociaż źródła historyi Chin rok 2357 przed Chrystusem podają za niewątpliwy czas objęcia panowania przez cesarza Jao, rok zaś 1134 za również pewny czas przyjścia do władzy Wuwanga, to jednak dopiero Kongtse wskazuje nam dane, w których rzeczywistość nie wierzyć byłoby tylko lekkomyślnością. Ależ i w Chinach istnieje szkoła historyków (Tao-sse) twierdzących, że czasy przedhistoryczne Chin przez trzy miliony lat się ciągną, tylko że w jej wywody u c z e n i chińscy wcale nie wierzą.

W nowszych czasach stało się modą, od której po dziś dzień najznakomitsi badacze dziejów już odstąpili, uważać Indye a zwłaszcza chronologię indyjską za podstawę starożytnej historyi i starożytnej chronologii. Olbrzymie liczby przechodzące widnokrąg ludzkiej myśli, nie dające się nawet wypowiedzieć, zdawały się iść jakoby ręka w rękę z miliardami lat istnienia świata, w jakie geologia nakazać wiarę pragnęłaby. Niestety pod uderzeniami krytycznego młota uczonych wszystkich narodów i wszystkich przekonań, runęły owe miliardy lat indyjskiej chronologii a najznakomitsi znawcy indyjskich dziejów, jak Lassen, Müller nie wahają się przyznać, że na chronologii Indyom prawie zupełnie zbywa, tak że nawet i o największej osobistości Indyi, o Buddzie nie możemy dokładnie powiedzieć, kiedy się urodził, kiedy umarł, czyli roku 950 lub 949 czyli może 544 lub 543 lub wreszcie czyli nie aż 370? Dlatego też w dziejach indyjskich tylko bardzo ogólnikowo bywają odróżniane epoki: pierwsza przedhistoryczna, której nie można podać ani początku ani końca, druga epoka Wedów, t. j. epoka, w której powstały indyjskie hymny znane pod nazwiskiem Weda, także i tej epoce nie można naznaczyć ani pewnego początku, ani pewnego końca, a tyle można tylko mniej więcej powiedzieć, że zawiera w sobie peryod od roku 2.000 do 1.000 przed Chrystusem; trzecia epoka sięga aż do Buddy, który najprawdopodobniej umarł roku 543 przed Chrystusem, więc był niejako współczesnym Kongtsego.

Dzisiejsi uczeni biorą za podstawę chronologii starożytnej chronologię egipską, która posiada pewne dane, według których już łatwiej kierować się, jak według innych chronologii; bo pominąwszy już to, że Egipcyanie mieli się za najstarszy lud świata, także i tradycya hebrejska przyznaje, że w ośmnastym wieku przed Chrystusem istniało wielkie i jak najzupełniej uporządkowane państwo w dolinie Nilu, a następnie i Homer wspomina wielokrotnie o Egipcie, jako państwie stojącem pod względem cywilizacyi bardzo wysoko. Herodotowi, gdy w piątym wieku przed Chrystusem podróżował, odczytywali kapłani z Teb 331 nazwisk egipskich królów począwszy od pierwszego Menesa. Wprawdzie i w Egipcie przechowała się tradycya, że w czasach przedhistorycznych panowali w Egipcie bogowie przez 17.500 lat, lecz wcale nie może to w podziwienie wprawiać, bo jeżeli myśl człowieka już z natury jest filozoficzną, t. j. dążącą do wykrycia i zbadania ostatecznej przyczyny wszelkiego tak fizycznego jak historycznego zjawiska, jeżeli taż sama myśl człowieka pragnęłaby dotrzeć aż do ostatecznej granicy, cóż dziwnego, że i Egipcyanie szukali czegoś takiego, coby mogło nieskończoność w czasie powiązać ze skończonością w historyi, a najodpowiedniejszem było właśnie wprowadzenie panowania Bogów i półbożków na ziemi.

Lecz i czas panowania pierwszego króla-człowieka Menesa nie jest nam wcale wiadomy. Według obliczenia Herodota (*II 145*) miałby Menes panować w Egipcie na 16.500 lat przed Chrystusem, lecz już według wskazówek danych przez Diodora (*I 26, 44, 69*) wnosić należy, że w obliczeniu tem zachodzi pomyłka, gdyż Menes nie mógł żyć pierwej jak 4.800 do 5.000 lat przed Chrystusem. Niektórzy autorowie i z tym wynikiem naukowych kombinacyi nie godząc się, bliżej kładą czasy Menesa, tak że Bunsen dochodzi do r. 3623 przed Chrystusem. Także i epoka, w której ludy pasterskie, tak zwane Hyksos, zawładnęły Egiptem może być tylko w przybliżeniu oznaczoną, nie wiadomo bowiem jak długo to plemię Hyksosów panowało w Egipcie, czyli 953, czyli 802, lub wreszcie czyli może tylko 511 lat? Pewnym jest jednak rok 1680 podany przez Manethona a stwierdzony dwoma napisami w kamieniołomach Kahirskich, w którym król Amosis wyparł Hyksosów z Egiptu. Od tego też roku staje się pewniejszą chronologia egipska, najpewniejszą z chronologii wszystkich starożytnych ludów i dlatego też może być śmiało użytą za podstawę starożytnych dziejów. Dla Egiptu rok 1680 wprawdzie nie jest taką wielką przeszłością, lecz dla innych ludów jest on jakoby ich dzieciństwem, ba nawet niemowlęctwem, bo są to prawie czasy Ninusa i Semiramidy, Jakóba ojca Józefa wicekróla egipskiego, czasy, w których o Fenicyanach, Arabach, Hellenach, Italach historya nic jeszcze nie wspomina.

Także i u Egipcyan wiek szósty stanowi epokę, albowiem r. 525 przed Chrystusem Kabujja (Kambyses) zdobył Egipt, a ostatni egipski faraon Psammenit stał się jeńcem zdobywcy.

(C. d. n.)

# Wystawa sztuk pięknych we Lwowie.

IV.

W dziale malarstwa pejzażowego znajdujemy naprzód obraz pędzla francuzkiego, Eugeniusza Capelle: *„Las w Meudon pod Paryżem.“* Pędzel oryginalny, łączący śmiałość i powagę stylu z kolorytem silnym, głębokim, uroczystym. Jest to część lasu ze sączącym się potokiem — nieba nie widać, bo gęsto splecione gałęzie zasłoniły go. Artysta umiał natchnąć powietrzem cały krajobraz.

Jakkolwiek Wł. Malecki jest uczniem szkoły monachijskiej, przecież jego sztuka używania farb ma coś wspólnego z niektórymi kolorystami francuzkimi. Ten jednak właśnie odcień nie wiele ma powabu, zostawia wrażenie nazbyt mdłe, cienie są za pełne. Kompozycya zaś: *„Krajobrazu z okolic Krakowa“* zbyt ubogą na tak rozległy karton. Kłąb drzew po środku i stado krów brodzące w niezmierzonych obszarach trawy. Za mało powłóczystości w prowadzeniu pędzla — farby jakby narzucane. Znamy obrazy p. M. o daleko bogatszej fantazyi i delikatniejszem wykonaniu.

Al. Świeszewskiego: *„Krajobraz z okolic Rzymu“* mieści zalety, jakie zwykle u tego malarza podziwiamy. Ma on bardzo subtelne poczucie natury, którę maluje, pejzażom swym umie nadawać zawsze piętno istotnie włoskie, umie rozlać oświetlenie gorące, południowe, umieścić w załomach cienie głębokie, niebo i morze odmalować błękitem pełnym, soczystym. Czuć w powietrzu żar, jakim tu płonie natura... Zresztą wyrobienie pędzla u p. S. jest znakomitem; pod względem kompozycyi widać u niego pewną jednostronność; wiedząc, że sztuka, którę najbardziej sobie przyswoił jest rzucanie wielkich obszarów wody i nieba, zaniedbuje artysta inne części krajobrazu. I na obecnym wyborne czyni wrażenie czystość i wdzięk w odmalowaniu błękitnych odmętów morza i nieba, ale reszta krajobrazu nie odznacza się ani oryginalnością ani rozmaitością kompozycyi.

Najobszerniejsze prace pejzażowe nadesłał Józef Jaroszyński (w Krakowie). Jego *„Krajobraz górski“* policzyć należy do najsumienniej wykonanych prac w tym rodzaju. Technika jest u niego rozwiniętą do wysokiego stopnia udoskonalenia, natomiast braknie mu sztuki nadania krajobrazom duszy. Cenić w nim należy bogactwo kompozycyi bez przeładowania; parę drzew i kóz pasących się, to za mało, wie o tem p. J. To też krajobraz jego, o którym mowa, dzieli się na kilka osobnych partyi pejzażowych, z których każda jest wypracowaną sumiennie i szczegółowo, a które łączą się następnie w całość plastyczną i harmonijną. Jest to strumień wijący się pomiędzy grupami drzew nadbrzeżnych. Co chwila jednak nowy widok, nowa grupa, nowy szczegół, urozmaicenie wrażeń ciągłe... Właściwą jednak sztuką, zalecającą p. J. jest malowanie wody... Tu nie wiele znajdzie współzawodników — szczególnie podoba się ta delikatna przeźroczystość i ton modrawy, który umie jej nadawać...

Mniejszą ma wartość obraz tegoż samego artysty: *„Powrót wieśniaków z jarmarku“*, jakkolwiek podnieść w nim należy świeżość, werwę i dobre zharmonizowanie kolorów. Konie będące wyłącznością p J., tym razem rażą nazbyt wyszukanemi skróceniami zasadniczych linii, które nie zawsze wypadły poprawnie w rysunku.

Przerósł te wszystkie obrazy mały pejzażyk Waleryana Brochockiego (w Monachium): *„Wiosna“* silną poetycznością w pomyśle i ujmującym wdziękiem wykonania. Na okwieconej łące, w prześlicznym dniu majowym, pod błękitem pogodnym i przeźroczystym grono dzieci wiejskich zbiera kwiaty — ostrożki, mak, bławatki. Oko się kąpie w wonnem przestworzu stubarwnej łąki i w niezmierzonej głębinie lazurów. Motyw świadczący o subtelnem odczuciu poezyi w przyrodzie, koloryt świetlany, powleczony tchem wiosny. Grono dziatek ułożone zręcznie i powabnie. Świeżość natury zawiewa od obrazka i budzi świeżość w sercu.

Pobieżnie już tylko zapiszemy Henryka Grabińskiego sumiennie wykonany krajobraz: *„Giewond w Tatrach“*, parę ładnych i delikatnie wykończonych pejzażyków Anny Baar (w Wiedniu), szczególnie: *„Widok w Almsee“* i *„Śnieżnica Grossvenediger w Tyrolu“*, jakoteż obszerny, z dawniejszych czasów znany a mdły i utartym sposobem malowany Alfreda Schouppego (w Warszawie): *„Widok Nowego Targu“*.

W dziale portretów najbardziej interesu budzi obraz wspólnie malowany przez ś. p. A. Grottgera i Jędrzeja Grabowskiego (we Lwowie) a przedstawiający *profile dwóch hrabiów Tarnowskich.* Portret hr. Władysława T. powleczony właściwym poecie muzykowi smętkiem i dziwną łagodnością wejrzenia, wykonany przez Grottgera, jest utworem natchnionym i znakomitym; natomiast głowa drugiego z braci jakkolwiek wzorowo modelowana, razi zbytkiem realizmu. P. Grabowski nie umiał pochwycić duszy i wypełnić nią modelu. Z prac nowych na tem polu wyróżnia się przez Z. Sidorowicza (we Lwowie): *„Portret pani N.“*, nadzwyczajnie miękkiem odmalowaniem ciała, powagą stylu, delikatnem nałożeniem farb, i troskliwością w opracowaniu akcesoryów toalety; jakoteż Lecha Nowakowskiego portrety ojca i matki. Portret śp. znakomitego Nestora sztuki narodowej odznacza się uderzającem podobieństwem i właściwem oddaniem tryskającej werwy i świeżości, która się zawsze tak mile rysowała na jego twarzy. Kazimierza Mireckiego: *„Portret pani Modrzejewskiej“* stanowi bardzo cenne dzieło sztuki, zdradzające siłę pędzla i szlachetne poczucie formy, ale nie jest ani podobnym, ani ujmującym z powodu nienaturalnej, ciemno oliwkowej cery. Artysta, który świeżo przebył szkołę włoską, malując ten portret, dał się nazbyt unieść jej tradycyom i stworzył obraz dobrze wykonany, ale ani piękny, ani prawdziwy. Portrety Al. Raczyńskiego były już wielokrotnie oceniane, a studya głów kobiecych Kruszyńskiego (we Lwowie), dziś jeszcze nie wytrzymałyby krytyki.

Aleksander Gryglewski swemi najnowszemi pracami w rodzaju architektonicznego malarstwa: *„Sala XVII. w. w zamku Podhoreckim“* i *„Wnętrze kościoła Marya-Stiegen we Wiedniu“*, doszedł szczytu wydoskonalenia. Co za przepyszne wypracowanie każdego szczegółu, jaka rozumna perspektywa, jak umiejętne rzucenie światła na każdy przedmiot! Długie lata pracy przebyć będzie musiał p. Stanisław Bryniarski (w Krakowie), zanim jego wnętrza i studya architektoniczne zasłużą na uznanie.

W dziale akwarel uderza z niezwykłą starannością wypieszczony obrazek rodzajowy Franciszka Tepy: *„Pasterz wiejski, paszący gęsi“*, świadczący o nadzwyczajnie delikatnem użycia pędzla; natomiast tegoż artysty: *„Arabowie pod palmą kolczastą“* rażą ubóstwem kompozycyi i technicznem zaniedbaniem. Akwaralowy portret Rozwadowskiego, młodego bohatera z pod Tuczap, znowu jest cackiem artystycznem. Prace akwarelowe Konstantego Macewicza dowodzą o bardzo słabej

znajomości rysunku, jakkolwiek jego: „*Rozbitek*“ zaleca się piękną alegoryą myśli i wykończeniem jedynej na obrazie figury. W. Eliasza: „*Obrona Krakowa przeciw Szwedom przez St. Czarnieckiego*“. podług olejnego obrazu tegoż artysty wykonana, jest obrazkiem starannie i wzorowo malowanym, zalecającym się szczególnie pełnością i siłą kolorytu. Zresztą cały szereg akwarel, rysunków i rzeźb, świadczy więcej o dobrych chęciach, niż o pokonaniu trudności. Mianowicie rzeźba nasza jest bezwzględnie w kolebce. Mile tylko wyróżniają się Tadeusza Wiśniowieckiego (w Monachium): „*Gustaw*“, postać z „*Dziadów*“ Mickiewicza, pomysł dramatyczny, wykonany z uczuciem i subtelnością, Zygm. Trembeckiego (w Krakowie): „*Grupa górali*,“ dobry odlew gipsowy, Piotra Kozakiewicza (we Lwowie): „*Chrzest Chrystusa*“ i Ch. Zalewskiego: „*Głowa Chrystusa*.“ Cała gromada modelów gipsowych, rozwieszona na ścianach sali stanowi zbiór prac sumiennych i poprawnie wykonanych, ale nie dających przedmiotu do szerszego rozpatrywania. *Br. Z.*

# KORESPONDENCYE.

**Kraków,** w Lipcu 1872.

(Sztuka. — Wystawa starożytności. — Salon sztuki. — *Sawczyński*: „Pedagogika.“ — *Mecherzyński*: „Wypisy.“ — *Nowolecki*: „Przewodnik.“ — Poezye *El-y*. — *Chłędowski*: „Po nitce do kłębka.“ — *Sulerzycki*: „Pamiętniki.“ — *Czerny*: Zawiązki państwowe Czech, Polski i Węgier.“ — Nowe dzieło dr. *T. Wojciechowskiego*. — *Orzechowskiego*: Skorowidz.)

Stanowisko jakie zajmuje Kraków pod względem sztuki okaże się wspaniale na powszechnej wystawie we Wiedniu; artyści tutejsi zamówili tam 7.000 metr. kwadr. miejsca, sam Mate ko 350 Kraków też jest właściwem miejscem na wystawę starożytności i sztuki dawnej, która tutaj na październik jest zapowiedzianą. Wystawa ta posłuży do zebrania przedmiotów, które wysłane do Wiednia dadzą tam świadectwo historycznemu znaczeniu i stanowisku narodu polskiego. Nie podobała się już ta jakoby archeologia któremuś z naszych dzienników; sadzę jednak, że gdy coraz mniej mamy sposobności do występowania jako narodowa całość, korzystać z każdej nadarzającej się, jest właśnie Galicyi obowiązkiem.

O wzrastającem u nas zamiłowaniu sztuki świadczy także otwarcie pierwszego w Polsce: „*Salon d' objects d' arts*“ (wiedeńskiego „*Kunsthandel*“), którego celem jest pośredniczyć między artystami a publicznością, ułatwiać popyt i odbyt na dzieła sztuki, a zarazem zapobiegać, żeby cudzoziemscy antykwaryusze naszych artystycznych i historycznych pamiątek po kraju nie wystawiali. Salon taki otworzył p. Reinsyszel, były sekretarz Tow. szt. p.

Literackie stanowisko Krakowa objawiło się w ostatnim czasie również nadspodziewanym ruchem. Na wystawę powszechną posela ztąd dr. Estreicher kompletną bibliotekę pedagogiczną polską; zapowiedziano wydawnictwo biblioteki nauk przyrodniczych pod redakcyą L. Masłowskiego autora studyum „Prawo postępu,“ a wyszło właśnie kilka dzieł niejednodniowej wartości.

Na czele postawić należy dwa dzieła pedagogiczne, których nam właśnie najwięcej potrzeba. Pan *Zygmunt Sawczyński* opracował *Kelnera*: Pedagogikę w urywkach. Urywki te obejmują całość wychowania i nauczania początkowego, książka jest gruntowną a niemniej popularną i dlatego powinszować można p. Sawczyńskiemu trafnego wyboru dzieła, które własnemi uwagami i przykładami uzupełnił. Książka ta nadaje się wyśmienicie dla naszych nauczycieli i nastręcza im sposobność ćwiczenia się, układania urywków w system, o czem p. S. w przedmowie nadmienia; Rada szkolna powinna dzieło to rozpowszechnić i według niego układać pytania dla konferencyi nauczycielskich.

Profesor-emeryt dr. *Karol Mecherzyński* wypracował: „Wypisy polskie dla szkół żeńskich.“ Zrozumiał zasłużony badacz ważność elementarnej książki i nie wstydził się zejść do niej z akademickiej katedry. Dał szkołom i pensyonatom wyborną, bogatą i pod względem języka poprawną książkę. Lepszej nie mamy, dlatego nie zaszkodzi jej pewnie, jeżeli wspomnę o dwóch wadach, które w niej znajduję. W pierwszej części jest za wiele ustępów smutnych, przerażających, które niekorzystnie oddziałują na wyobraźnię dzieci; w dalszych byłoby, zdaje mi się, odpowiedniej, zamiast ustępów opiewających z historyi ceremonie, koronacye itp., dać opisy pożywniejsze faktów wielkiej, moralnej i społecznej wartości. Rzecz tę przy następnem wydaniu nietrudno naprawić.

Oba te dzieła wydał J. M. Himmelblau, jedyny dotąd w Krakowie nakładca. Obok niego coraz większą działalność rozwija niestrudzony wydawca *Czytelni ludowej*, obecnie i księgarz tutejszy *A. Nowolecki*. Wydał właśnie: „Przewodnik dla kupujących i czytających książki,“ dziełko, któreby w każdym kraju, gdzieby istotnie kupowano i czytano książki, w każdym domu znaleźć się musiało. Objaśnia ono o wszystkich dziełach dla ludu, dzieci i w ogóle popularnych, podając ich spis i wartość.

Z zapowiedzianych poezyi *El-y* wydał p. Nowolecki tom pierwszy, obejmujący przeważnie znane już utwory. Z sprawozdaniem obszerniejszem wstrzymam się aż do wyjścia tomu drugiego, czyniąc to samo z dziełem dr. *Szczanieckiego*: „Rys rozwoju prawa narodów,“ którego wyszla część pierwsza.

Z literatury powieściowej mamy dwie nowości. *K. Chłędowskiego*: „Po nitce do kłębka“ w rodzaju Gaboriau. Od „Elli“ i „Skrupułów“ postęp wielki; język poprawniejszy, nie ma takiego pospiechu w opowiadaniu, charaktery dosyć blado, ale trafne; jako nowość wspomnieć należy bohaterkę niemą, a wynikające ztąd sytuacye zręcznie i poetycznie wyzyskane. Interes w czytającym ciągle wzrasta, co już wiele znaczy i dowodzi, że autor panuje nad przedmiotem; lecz niestety koniec wcale nie koronuje dzieła. Powieść się urywa nagle, nadzwyczajnym wypadkiem, z osoby podrzędnej, trzeciego planu, robi się główna i pomimo, że wszystko dobrze skończono, powstaje niesmak i pytanie: na co to wszystko? Ma autor do powieści talent widoczny, ale jeszcze brak wykończenia, harmonijnego ułożenia i nadania jej wyższej i głębszej wartości życiowej, którę musi mieć koniecznie, jeżeli ma być czemś więcej, jak zwykłą, zręczniej tylko skombinowaną plotką, lub kryminalnym skandalem.

*Sulerzyckiego*: „Pamiętników“ wyszedł tom trzeci. Jak poprzednie zawiera wiele rysów charakterystycznych o Prusach zachodnich, o procesie Polaków w Berlinie w r. 1863 itd.; w ogóle jest to gawęda uczciwa, namaszczona niezłomną wiarą starca w przyszłość ojczyzny, napisana dla dzieci z prawdziwie ojcowskiem sercem, a nieraz staropolską oddechająca jowialnością.

Dr. *Fr. Czerny* wydał już drugą pracę z dziedziny historyi: „Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier.“ Nie błąkając się po manowcach i hipotezach autor szuka syntezy, wyniku najnowszych badań i odsłoniętych źródeł. Wiadomości ztamtąd czerpane zestawia, łączy, wykazuje wpływy, które przeważnie, jak n. p. kościół, działały na ustrój państwowy ludów słowiańskich, przyczem atoli zaniedbał nieco wglądnąć na warunki przyrody kraju, ekonomiczne i społeczne, bez rozważenia których nie ma już dzisiaj historyi. Praca ta świadczy o sumiennych studyach i rokuje w autorze dobrego profesora i pisarza.

O przedhistorycznych słowiańskich czasach drukuje się właśnie, ale już zupełnie oryginalne, na własnej nowej metodzie oparte dzieło dr. *T. Wojciechowskiego:* „O Białej Chrobacyi.“ Dzieło to i metoda, o której w swoim czasie napiszę, zrobią, jak sądzę, wielkie wrażenie w świecie naukowym, a zwłaszcza między czeskimi badaczami.

Na zakończenie jeszcze wzmianka o dwóch pracach *K. Orzechowskiego* (dyr. biór pomocniczych przy tutejszym sądzie). Wydał on „Skorowidz“ i „Przewodnik typograficzny Galicyi,“ jakiegośmy dotąd nie mieli. Dzieła takie wydają gdzieindziej rządy, lub zbiorowe ciała; tu dokonał ogromnej pracy jeden człowiek. Skorowidz ten obejmuje wykazy miejscowości, wszelkich przynależności administr. i rządowych, statystykę ludności, wyznań, gleby itd. Dodaną jest odpowiednia mapa Galicyi. Nie ma, zdaje się, człowieka, któryby się mógł obejść bez takiego dzieła pod ręką. Wydawnictwo to zasługuje na uznanie i wynagrodzenie ze strony rządu i sejmu.

Jak na *saison morte*, to niemałą mamy wiązankę nowości — oby tylko konsumpcya odpowiedziała produkcyi.

*Asz.*

†

## ADAM PAJGERT.

Znowu świeża otworzyła się mogiła, tem boleśniejsza, im mniej spodziewana. Poeta Adam Pajgert umarł d. 21 bm. we Franzensbadzie, gdzie przed dwoma tygodniami na kuracyę wyjechał, w 45 roku życia. Ur. w Sidorowie (w Czortkowskiem), majętności rodziców, był synem Józefa Kalasantego, człowieka znakomitej nauki, i Tekli z Maleckich. Nie znane nam jeszcze szczegóły młodości zmarłego, życie jednak Adama Pajgerta nie składało się z interesujących wypadków, ale z ciągłej, nieutrudzonej, w sobie samej krzepkość czerpiącej pracy umysłu i wyobraźni. Był to jeden z najjaśniejszych duchów obecnego czasu, czułym na wszystkie sprawy narodu i ludzkości, z rzadką namiętnością śledzącym każdy fakt bieżącej historyi, aby z niej wysnuć co rychlej prawdę moralną, historyozoficzną. Z całą słusznością nazwać można Pajgerta myślicielem. W biegu takiego życia trudno więcej przemyśleć wielkich kwestyi, jak on, trudno się głębiej oburzać na każdy fałsz i wsteczny krok dziejowy, trudno wrażliwiej uczuć każdą nową prawdę, mogącą przysłużyć się ludzkości w jej postępie cywilizacyjnym. W ostatnich latach życia oddawał się wyłącznie gruntownym, źródłowym studyom teologiczno-filozoficznym, i właśnie kiedy doszedłszy do jasnych i utrwalonych przekonań we wielu najżywotniejszych pytaniach z tej dziedziny, chciał je spisać w szeregu prac, któreby zarówno bezwątpienia celowały głębokością poglądów, jak ich nowością, przerwała się nić życia... Był to widok zarazem niezwykły i ciekawy, jak Pajgert przy wszechstronności swego umysłu zdołał umiejętnie pogodzić swe skłonności poety i myśliciela ze zatrudnieniami gospodarskiemi, jako właściciel obszernego majątku — jak od siejby i młocarni szedł wraz z Gibbonem, Robertsonem, Vacherotem badać ducha dziejów i chrześcyaństwa... Dlatego jednak, że Pajgert od lat wielu na wsi, daleko od wrzawy wielkomiejskiej, tym prawie wyłącznie oddawał się studyom, mało pisząc nowego, kraj i czytająca publiczność mniej znała jego imię, jego stanowisko w piśmiennictwie. Jako filozof nie dał się też jeszcze rzeczywiście szerzej poznać, ale zasługi jego, jako poety powinny być znane powszechnie i godnie ocenione. Zaczął pisać mniej więcej około r. 1856 i od owego czasu do r. 1860 był najpłodniejszym z czynnych naówczas i pełnych ognia poetów — Kornela Ujejskiego, Henryka Jabłońskiego, Karola Brzozowskiego, Romana Zmorskiego... Poezye te umieszczał prawie bez przerwy, znakomicie wówczas redagowany we Lwowie: *Dziennik literacki*. Odznaczały się jasnością fantazyi, poważnym nastrojem, siłą dykcyi i zawsze wysokim polotem natchnienia. Najpiękniejsze są te, do których motywa czerpał z mitów starożytnych, z heroicznych czasów Grecyi i Rzymu, wreszcie z podań biblijnych. Umiał zawsze przenieść się we właściwą epokę i nadać wierszom koloryt czasu i ludu. Utwory takie, jak: *„Powrót Greków z pod Salaminy,“* *„Ostatnie chwile Hannibala,“* *„Harfiarz ze Scios,“* a nadewszystko wspaniały poemat z republikańskich czasów Grecyi: *„Kadmea,“* zajmują niepośledniе miejsce w naszej literaturze poetycznej i zapomniane nie będą. Jego: *„Pieśni proroków“* nie dorównują wprawdzie: *„Melodyom hebrajskim“* Ujejskiego, ale nie ustąpią im pod względem plastyki słowa i podniosłości tonu. Największe jednak zasługi położył jako wzorowy tłumacz. Trudno o większe różnice w usposobieniach i formach poetów, których przekładał, a zawsze wiersz jego był najwierniejszem oddaniem ducha i formy każdego z nich. Z Byrona przełożył: *„Wyspę“* i *„Kaina,“* z Szekspira: *„Juliusza Cezara“* i *„Henryka IV,“* z Musseta: *„Czarę i usta,“* z Tennysona: *„Ginewrę,“* z Tomasza Moora, Wiktora Hugo, Longfellowa, Heinego, Bürgera niezliczoną ilość poezyi mniejszych... Prozą drukował raz tylko r. 1868 w *Dzienniku literackim* rozprawę estetyczną: *„O przedmiotach ujemnych w sztuce,“* gdzie broni zwycięsko Heinego, Musseta, Byrona i Słowackiego przeciw zarzutom czynionym ich negacyjnemu kierunkowi... Wkrótce pojawi się nowe, zupełne wydanie drukowanych już i w rękopisie pozostałych (*„Henryk IV,“* *„Czara i usta“*) jego poezyi.

Ale treść ducha poety daleką jeszcze była od wyczerpania się. Wyobraźnia jego zapłodniona nowemi pojęciami, wyniesionemi z badań religii, dziejów i filozofii mogła się wzmódz niepospolicie i słusznie można było czekać niedługiej chwili, w którejby znów wziął za pióro i powtórzył ową najczynniejszą w swem życiu epokę lat 1856 — 60. Tymczasem jednak umarł, zostawiając w żalu nieutuloną, młodą wdowę wraz z trojgiem dzieci, oraz przyjaciół i wielbicieli swego talentu.

A tak i ty, zacna Pani, jakkolwiek tak bardzo dziś boleśna, tyle mieć bo możesz osłody, że zostałaś wdową — znakomitego w narodzie człowieka.

*Bronisław Zawadzki.*

## Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

*Wystawa powszechna we Wiedniu.* Sekcya archeologiczna komisyi wystawowej krakowskiej ogłasza składkę na wydanie: *„Karty etnograficznej Galicyi“* wraz z objaśnieniami historycznemi i rysunkami strojów ludowych. Wykonaniem karty zajął się Juliusz Kossak, dostarczeniem materyałów historycznych Wincenty Pol. Fundusz potrzebny 800 złr.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana